

John W. Campbell

Zmierzch

Przełożył Andrzej Leszczyński

– Co do autostopowiczów, to pewnego razu podwiozłem faceta, który naprawdę był niezwykłym typem – oświadczył Jim Bendell niezbyt pewnym głosem. – Opowiedział mi najdziwniejszą historię, jaką kiedykolwiek słyszałem. – Zaśmiał się, ale jakoś dziwnie. – Większość z nich opowiada o tym, jak utracili swe dobre posady i teraz próbują znaleźć zajęcie tutaj, na rozległych obszarach Zachodu. Chyba nie rozumieją, ilu takich przybyło tu przed nimi. Wydaje im się, że cały ten piękny, olbrzymi kraj jest nie zamieszkanym.

Jim Bendell jest agentem sprzedaży nieruchomości. To jego ulubiony temat i dobrze wiem, jak potrafi go rozwijać. Niepokoi się, bo w naszym stanie zostało jeszcze wiele nie zajętych działek. Ciągłe plecie o pięknym kraju, ale nigdy nie wychylił nosa głębiej w pustynię niż do ostatnich zabudowań. Trzeba to powiedzieć szczerze: boi się jej. Musiałem więc naprowadzić go z powrotem na tor rozmowy.

– Ten też miał jakieś pretensje, Jim? Poszukiwacz, który nie może znaleźć terenów do poszukiwań?

– To wcale nie jest śmieszne, Bart. Nie chodziło mu o żadne pretensje. Nie wspomniał nawet o tym, po prostu opowiedział swoją historię. Żeby jeszcze twierdził, że mówi prawdę. Nie, on ją tylko opowiedział. To mnie właśnie zastanowiło. Wiem, że zmyślił to wszystko, ale opowiadał w taki sposób... Zresztą sam nie wiem.

Chyba naprawdę się pogubił. Jim Bendell zwykle bardzo dba o płynność wymowy, jest z tego wręcz dumny. Kiedy zaczyna się płatać, oznacza to, iż coś go gnębi. Zupełnie jak wtedy, kiedy wziął grzechotnika za kawałek gałązki i chciał go wrzucić do ognia.

– Miał także śmieszne ubranie – ciągnął Jim. – Wyglądało, jakby było zrobione ze srebra, lecz w dotyku przypominało jedwab, a nocą trochę świeciło.

Zabrałem go już o zmierzchu. Właściwie to podniosłem go z ziemi, leżał bowiem jakieś trzy metry od jezdni Drogi Południowej. Z początku myślałem, że ktoś go potracił i nie zatrzymał się. W zapadającym zmroku nie był dobrze widoczny. Podniosłem go z ziemi, wsadziłem do samochodu i ruszyłem w drogę. Miałem do przejechania około pięciuset kilometrów, lecz pomyślałem, że mogę go zostawić w Warren Spring u doktora Vance'a. Ale on po pięciu minutach doszedł do siebie i otworzył oczy. Popatrzył na drogę, potem na samochód i na księżyc. „Dzięki Bogu!” rzekł, po czym spojrzał na mnie. Niemal przeżyłem szok. Był piękny; nie, właściwie przystojny.

Ani jedno ani drugie. Był wspaniały. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i włosy brązowe z czerwonozłotym połyskiem. Wyglądały jak cieniutki miedziany przewód, który z wiekiem zbrązowił. Poza tym były poskręcane w kędziory. Miał szerokie czoło, dwa razy szersze od mojego; delikatne, lecz bardzo charakterystyczne rysy, oczy szare jak wryte w żelazie i większe od moich. Dużo większe.

A jego ubiór – wyglądał trochę jak połączenie stroju kąpielowego ze spodniami od pizamy.

Długie ramiona swym delikatnym umięśnieniem przypominały sylwetki Indian. Skórę miał jednak białą, choć ze słabym odcieniem złota a nie brązu.

Był wspaniały – najpiękniejszy człowiek, jakiego w życiu widziałem. Zresztą do diabła z tym.

– Cześć – powiedziałem. – Miał pan wypadek?

– Nie; przynajmniej nie w tym czasie.

Jego głos także brzmiał wspaniale. To nie był zwykły głos. Mogłoby się здаwać, iż zamiast strun głosowych miał piszczałki organowe.

– Chyba nie doszedłem jeszcze całkiem do siebie. Przeprowadzałem pewien eksperyment – rzekł. – Niech mi pan powie, jaki mamy dzisiaj dzień, który rok i tak dalej.

– Dziś jest dziewiąty grudnia tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku – odparłem.

Niezbyt mu się spodobała ta data. Zakasłał chcąc zamaskować grymas, jaki przebiegł po jego twarzy.

– Ponad tysiąc... – rzekł w zamyśleniu. – Lepsze to niż siedem milionów. Nie ma co narzekać.

– Siedem milionów? Czego?

– Lat – odpowiedział spokojnie, zupełnie jakby mówił serio. – Przeprowadzałem pewne doświadczenie. Raczej będę je przeprowadzał. Będę musiał to zrobić jeszcze raz. Miało to miejsce w roku trzy tysiące pięćdziesiątym dziewiątym. Skończyłem właśnie próbę uwalniania. Badanie przestrzeni. Nadal wierzę, że nie była to pułapka czasu. To przestrzeń. Czułem, jak pole zamyka się wokół mnie, jednak nie mogłem się już wycofać. Pole gamma – H 481, natężenie 935 w skali Pellmana. Wessało mnie, po czym wyrzuciło na zewnątrz.

Myślę, że przebyło w przestrzeni drogę do tego miejsca, które będzie zajmował Układ Słoneczny. Poprzez jakiś kolejny wymiar, osiągając szybkość wyższą od prędkości światła i wyrzucając mnie w dalekiej przyszłości.

To nie była zwykła opowieść. On po prostu głośno myślał i dopiero po chwili zauważył moją obecność.

– Nie byłem w stanie nic odczytać z ich przyrządów. Siedem milionów lat ewolucji odmieniło wszystko. Stąd też wracając minąłem się nieco z celem. Musiałem się znaleźć w roku trzy tysiące pięćdziesiątym dziewiątym.

Niech mi pan powie, jakie jest wasze ostatnie osiągnięcie naukowe?

Tak mnie zaskoczył tym pytaniem, że wymieniał pierwszą rzecz, jaka przyszła mi na myśl.

– Chyba telewizja. Poza tym radio, samoloty.

– Radio... to świetnie. Będą mieli odpowiednie przyrządy.

– Chwileczkę. Kim pan właściwie jest?

– Och, przepraszam. Zapomniałem – odrzekł tym swoim organowym głosem. – Nazywam

się Ares Sen Kenlin. A pan?

– James Waters Bendell.

– Waters?... Cóż to oznacza? Nie rozumiem.

– Cóż, to imię, rzecz jasna. Dlaczego miałby pan je rozumieć?

– To znaczy, że nie macie jeszcze klasyfikacji. „Sen” oznacza naukowiec.

– Skąd pan przybył, panie Kenlin?

– Skąd? – uśmiechnął się. – Z przestrzeni, z dystansu ponad siedmiu milionów lat – odparł, powoli i miękko wymawiając wyrazy. – Ludzie przyszłości stracili rachubę czasu. Maszyny wyeliminowały zbędne czynności. Nie wiadomo już było, który jest rok. A tak w ogóle, pochodzę z Neva'th City, z roku 3059.

Wtedy właśnie zacząłem podejrzewać, że facet jest stuknięty.

– Byłem badaczem – kontynuował. – Uczonym, jak już powiedziałem. Mój ojciec też był naukowcem, zajmował się genetyką ludzi. Ja jestem efektem jego doświadczeń. Dopiął swego. Na całym świecie zaczęto stosować jego metodę. Ja byłem pierwszym z nowej rasy.

Nowa rasa... O Boże... Co było... Co będzie...

Jaki będzie koniec? Widziałem go... prawie. Widziałem ich... małych ludzików... zdziczałych... zagubionych. I maszyny. Czy musi się tak stać?... Czy nic nie można odmienić?...

Niech pan słucha: nauczyłem się takiej piosenki.

Zaśpiewał ją. Teraz nie musiał już opowiadać o tych ludziach. Znałem ich. Zdawało mi się, że słyszę ich głosy brzmiące w dziwnych, jakby trzaskających, nieangielskich słowach. Wyczuwałem ich straszliwą tęsknotę. Piosenka była, jak sędzę, w tonacji minorowej. Nawoływała. Wzywała i zapytywała. I bez nadziei szukała czegoś. Ponad tym wszystkim górował szum i zawodzenie nieznanymi, zapomnianymi maszyn.

Maszyn, których nie można było wyłączyć, gdyż kiedyś puszczono je w ruch, a mali ludzie zapomnieli, jak się je zatrzymuje. Zapomnieli nawet, do czego one służą; przyglądali się im jedynie i nasłuchiwali. I dziwili się. Nie potrafili już ani czytać ani pisać. Język uległ tak gruntownym zmianom, że zapisy foniczne ich przodków nie przedstawiały dla nich żadnej wartości.

Lecz piosenka trwała, a ludzie zastanawiali się. Spoglądali w przestrzeń i widzieli ciepłe, przyjazne im gwiazdy, ale zbyt odległe. Znali dziewięć planet, które zamieszkiwali. Oddzieleni nieskończoną pustką, nie widzieli dotąd innych cywilizacji, nowego życia.

A w tym wszystkim – dwie rzeczy: maszyny i osłupiałe zapomnienie; Może jeszcze pytanie: dlaczego?

O tym mówiła piosenka, od której przeszły mnie ciarki po grzbiecie. Nie powinno się jej śpiewać dzisiejszym ludziom. Robiła wrażenie, jakby zabijała wszystko, a na pewno zabijała nadzieję. Po jej wysłuchaniu zacząłem mu wierzyć.

Kiedy skończył śpiewać, milczał przez chwilę. Potem otrząsnął się i kontynuował swą opowieść.

– Nie uwierzy pan, jeszcze nie. A ja ich widziałem. Stali tuż obok mnie – zdeformowani ludzie o olbrzymich głowach. Lecz ich głowy dźwigały jedynie mózgi. Mieli maszyny, które potrafiły myśleć, ale ktoś wyłączył je jakiś czas wcześniej, a nikt z nich nie wiedział, jak się je uruchamia. To była najstraszniejsza rzecz. Mieli wspaniałe mózgi, o wiele lepsze niż pański czy mój. Ale wyłączono ich może kilka milionów lat wcześniej i od tego czasu byli pozbawieni myśli. Sympatyczni, mali ludzie. Tyle tylko wiedzieli.

Kiedy dostałem się w to pole, zacisnęło się ono niczym pole grawitacyjne transportujące ładownik w kierunku planety. Najpierw mnie wessało, potem wypluło. Tyle, że po jego drugiej stronie znalazłem się siedem milionów lat w przyszłości. Tak to się stało. Musiałem zawisnąć niemal dokładnie w tym samym punkcie nad powierzchnią planety, lecz nigdy się nie dowiedziałem, jaka była tego przyczyna.

Panowała noc; w pewnej odległości ujrzałem miasto. Nie podobał mi się ten krajobraz w świetle Księżyca. Widzi pan, człowiek w ciągu tych siedmiu milionów lat ingerował w pozycje ciał planetarnych: zmieniał trajektorie, oczyszczał układ z asteroidów i tak dalej. Poza tym siedem milionów lat to wystarczająco długi okres czasu, aby pozycje ciał uległy naturalnym zmianom. Księżyc znajdował się jakieś osiemdziesiąt tysięcy kilometrów dalej od Ziemi, a ponadto obracał wokół swej osi. Przez jakiś czas przyglądałem się mu. Nawet gwiazdy miały inne konfiguracje.

Miasto posiadało komunikację międzyplanetarną. Co chwila w tę i z powrotem wędrowały statki niczym modele przesuwane na sznurku. Rzecz jasna były to tylko linie siłowe. Część miasta położona niżej była jasno oświetlona czymś, co wyglądało na rtęciowe lampy próżniowe. Światło miało barwę błękitno-zieloną. Ludzie nie wytrzymałoby przy nim, kłuło w oczy. Ale górna część miasta była skromniej oświetlona.

Wówczas ujrzałem coś opadającego z nieba na to miasto. Była to jaskrawa, olbrzymia kula, kierująca się wprost w stronę srebrzysto-czarnego, zatłoczonego centrum.

Nie mam pojęcia, co to mogło być, zrozumiałem jednak, że miasto jest wyludnione. Było to dziwne przeświadczenie, jako że nigdy przedtem nie widziałem opuszczonego miasta. Mimo to przebyłem odległość dwudziestu pięciu kilometrów i wkroczyłem między jego mury. Po ulicach przesuwały się maszyny, chyba naprawcze. Nie rozumiały, iż miasto nie potrzebuje ich już, a więc funkcjonowały nadal. Trafiłem na pojazd pasażerski, który wyglądał prawie tak jak obecne. Posiadał ręczne urządzenia sterownicze, w których dość szybko się zorientowałem.

Nie mam pojęcia, od jak dawna to miasto mogło być wyludnione. Niektórzy ludzie z innych miast twierdzili, że od stu pięćdziesięciu tysięcy lat. Inni wymieniali liczbę trzystu tysięcy. Minęło więc trzysta tysięcy lat od czasu, kiedy stopa człowieka stanęła w mieście. Lecz pojazd

znajdował się w znakomitym stanie i ruszył od razu. Był idealnie czysty, tak jak i całe miasto było utrzymane w czystości. Kiedy ujrzałem restaurację, poczułem, że jestem głodny. Ale jeszcze bardziej pragnąłem porozmawiać z kimkolwiek. W mieście nie było nikogo, ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałem.

W restauracji potrawy były ukazane bezpośrednio, tak że łatwo można było dokonać wyboru. Produkty liczyły sobie, jak sędzę, trzysta tysięcy lat. Nie wiedziałem jednak o tym; nie miało to zresztą większego znaczenia, jako że automaty serwujące przyrządzały dania syntetycznie, a robiły to znakomicie. Kiedy budowniczo wie projektowali to miasto, zapomnieli o jednej rzeczy – nie wzięli pod uwagę faktu, że nic nie trwa wiecznie.

Budowa aparatu zajęła mi sześć miesięcy; pod koniec tego okresu byłem już gotów uciekać stamtąd. Uciekać także przed widokiem maszyn, na ślepo, lecz precyzyjnie wykonujących swoje obowiązki, niezniszczalnych, nadal wytrwale realizujących zamierzenia ich twórców wiele lat po tym, jak ich konstruktorzy, a także ich synowie i synowie ich synów przestali ich już potrzebować...

Nawet gdy Ziemia będzie już martwa, a Słońce zacznie przygasać, to maszyny nadal będą wypełniały swe funkcje. Kiedy Ziemia zacznie pękać i rozpadać się, te wspaniałe, doprowadzone do perfekcji maszyny będą próbowały ją naprawić...

Wyszedłem z restauracji i zacząłem zwiedzać miasto, jeżdżąc taksówką. Pojazd wyposażony był, jak sędzę, w niewielki silnik elektryczny, ale czerpał energię z jakiejś centralnej, dużej elektrowni. Szybko zorientowałem się, iż znajduję się w bardzo odległej przyszłości. Miasto podzielone było na dwa sektory. W pierwszym z nich, wielopoziomowym, pracowały maszyny wydające głęboki, basowy pomruk, który rozlegał się echem w całym mieście niczym wszechpotężna, nie kończąca się pieśń energii. Wszystkie metalowe konstrukcje odpowiadały na ten zew, przenosiły go i zwielokrotniały. Był jednak zarazem łagodny, ściszony i uspokajający.

Musiało się tam znajdować co najmniej trzydzieści pięter powyżej poziomu gruntu i ze dwadzieścia poniżej. Wszystko z metalu – ściany, podłogi, a także szklano-metalowe potężne maszyny. Jedynym światłem w pomieszczeniach był niebieskozielony blask lamp rtęciowych. Widmo pasm rtęci zawiera wiele pasm wysokoenergetycznych, które stymulują wzbudzenie elektroelektryczne atomów metali alkalicznych. Czy mówię o rzeczach wykraczających poza poziom waszej nauki? Nie pamiętam już tego.

Stosowali to oświetlenie, ponieważ liczne spośród ich urządzeń wyposażone były w fotokomórki. To naprawdę wspaniałe maszyny. Przez pięć godzin kręciłem się po olbrzymiej elektrowni umieszczonej na jednym z najniższych poziomów. Miałem co podziwiać, a z powodu otaczającego mnie ciągłego ruchu, tego mechanicznego pseudo-życia, czułem się trochę mniej osamotniony.

Generatory, które obserwowałem, pracowały na zasadzie uwalniania, odkrytego przeze

mnie... kiedy? Chodzi mi o proces wyzwania energii z materii. Kiedy je ujrzałem, zrozumiałem, że ich praca może trwać jeszcze niezliczone stulecia.

Cała dolna część miasta została oddana we władanie maszynom. Było ich tysiące. Lecz większość z nich stała w bezruchu albo też oczekiwała na naładowanie akumulatorów. Rozpoznałem nawet aparat telefoniczny, ale nie pojawił się w nim żaden sygnał. W mieście nie było żywej duszy. Kiedy nacisnąłem klawisz umieszczony pod ekranem na jednej ze ścian pokoju, urządzenie zaczęło normalnie pracować. Było sprawne, tyle że nikt go już nie potrzebował. Ludzie wiedzieli, co to znaczy śmierć, byli martwi. Maszynom to pojęcie było obce.

W końcu przeszedłem do górnej części miasta, na jego wyższe poziomy. I tu znalazłem raj.

Były tu parki, krzewy i drzewa pogrążone w delikatnej poświacie błyszczącego powietrza. Pięć milionów lat wcześniej ludzie nauczyli się wytwarzać światło w powietrzu, po trzech milionach zapomnieli, jak to się robi, ale maszyny nadal znały ten sam proces i ciągle produkowały tę poświatę. To było wspaniałe – powietrze świecające miękkim, srebrzystym, nieco różowawym blaskiem, pogrążającym zarośla w półmroku. Tutaj nie spotkałem maszyn, wiedziałem jednak, że za dnia wychodzą z ukrycia i pielęgnują ogrody – raj dla ludzi, których nie było już na świecie – a o zmierzchu przerywają swą pracę.

Na pustyni za miastem powietrze było chłodniejsze i bardzo suche. Tutaj było ciepło i przyjemnie, a atmosferę przepełniał zapach kwiatów, których hodowlę przez setki tysięcy lat ludzie doprowadzili do perfekcji.

Skądś napłynęła muzyka. Jej źródłem było powietrze; po chwili wypełniała już całą przestrzeń. Księżyc zapadał za horyzont, zaś kiedy zaszedł, różowosrebrzysta poświata zniknęła, a muzyka nasiliła się.

Nadpływała zewsząd i znikąd jednocześnie. Czuję ją nawet wewnątrz siebie. Nie mam pojęcia, jak oni tego dokonali; nie przypuszczam też, by taką muzykę mógł skomponować jakiś człowiek.

Ludzie pierwotni tworzą muzykę zbyt prostą, by mogła się podobać, lecz za to kipiącą życiem. Półdżicy komponują muzykę nadzwyczaj piękną i niespotykanie prostą. Muzyka murzyńska waszych czasów należy do najlepszych. Czarni rozumieli pieśni, kiedy ich słuchali, a śpiewali je tak, jak je naprawdę czuli.

Właśnie półcywilizowani ludzie tworzyli najwspanialszą muzykę. Byli z niej dumni i wiedzieli, że budują wielkie dzieło; tak wielkie, że aż nie do zniesienia.

Zawsze sądziłem, że nasza muzyka jest znakomita. Ale ta, która pojawiła się w powietrzu, była prawdziwą pieśnią triumfu, śpiewaną przez wysoko rozwiniętą, znajdującą się u szczytu ewolucji cywilizację. To właśnie człowiek w tych majestatycznych dźwiękach, które mnie porwały, wyśpiewywał swój triumf; ukazywał mi nęcącą przyszłość i wzywał mnie do siebie.

I pieśń zamilkła w powietrzu, kiedy przyglądałem się wymarłemu miastu. Maszyny powinny były wymazać tę pieśń ze swej pamięci, tak jak człowiek zapomniał o niej już wiele lat wcześniej.

Wszedłem do pomieszczenia, które musiało być jednym z ich mieszkań. W przyćmionym świetle szedłem niewyraźną ścieżką, lecz gdy stanąłem przed progiem, światło, nie funkcjonujące od Trzystu tysięcy lat, oświetliło pokoje specjalnie dla mnie zielonkawym blaskiem przypominającym barwę robaczki świętojańskie, mogłem więc wejść do środka. Natychmiast powietrze pomiędzy futryną drzwi przekształciło się w taki sposób, jakby zawisła tam nieprzezroczysta, mleczna kurtyna. W pomieszczeniu, do którego wszedłem, dominowały metal i kamień – jakaś matowoczarna substancja, w dotyku jakby aksamitna, wśród metali natomiast przeważały srebro i złoto. Na podłodze leżał dywan, wykonany z takiego samego materiału, w jaki jestem odziany, tylko znacznie grubszego i bardziej wytrzymałego. Wzdłuż ścian znajdowały się niskie otomany, pokryte tym samym miękkim metalicznym materiałem błyszczącym czernią, srebrem i złotem.

Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Prawdopodobnie nie zobaczę nigdy więcej, a mój i pański język nie są w stanie w pełni tego opisać.

Budowniczości tego miasta mieli pełne prawo, a także powód, aby śpiewać tę pieśń triumfu – triumfu, którym było zaludnienie dziesięciu planet oraz piętnastu nadających się do zamieszkania księżyców.

Lecz ludzi tych nie było już na świecie. Ja także postanowiłem stąd odejść. Zarysował się w mej głowie pewien plan, zawróciłem do centrali telefonicznej, by przyjrzeć się dokładnie mapie, którą tam widziałem. Planeta wyglądała niemal dokładnie tak samo. Siedem czy nawet siedemnaście milionów lat to niezbyt długi okres czasu dla starej Matki Ziemi. Podejrzewam, że dożyje ona chwili, kiedy te wspaniałe maszyny miasta legną w gruzach. Może upłynąć sto milionów lat, czy nawet miliard lat, zanim sama rozsypie się w proch.

Próbowałem uzyskać połączenie z kilkoma centralami innych miast ukazanych na mapie. Kiedy przyjrzałem się bliżej urządzeniom centrali, szybko zrozumiałem zasady jej działania.

Próbowałem raz, drugi i trzeci, w sumie chyba z tuzin razy. Yawk City, Lunon City, Paree, Shkago, Singpor i inne miasta. Zaczynałem już sądzić, że jestem jedynym żywym człowiekiem na całym świecie. I przygniatała mnie świadomość, że w każdym z tych miast maszyny odbierały mój sygnał i realizowały połączenie. Urządzenia były sprawne wszędzie, nawet w najbardziej odległej centrali. Ja znajdowałem się w Neva City, niezbyt dużym mieście; Yawk City na przykład miało ponad osiemset kilometrów średnicy.

W każdym z miast wybierałem kilka numerów. Wreszcie połączyłem się z San Frisco. Tam ktoś był. Usłyszałem ludzki głos, a na małym ekranie zobaczyłem twarz człowieka. Widziałem, jak zerwał się na równe nogi i przyglądał mi się w zdumieniu. Po chwili zaczął mówić. Nic nie

rozumiałem, rzecz jasna. My możemy się porozumieć; nasze języki niewiele się różnią, a to dlatego, że wasza mowa została zapisana w różnych nagraniach dźwiękowych, a nasza jest na niej oparta.

Niektóre rzeczy uległy zmianie, na przykład nazwy miast, które zwykle są polisylabiczne. Ludzie, często ich używając, mają tendencję do upraszczania ich i skracania. Pan powiedziałby, że znajdowałem się w Ne-va-da City. Tak to się wymawia? My mówimy tylko Neva. Albo Yawk State. Lecz nazwy Ohio, czy Iowa pozostały niezmienione. Okres ponad tysiąca lat nie spowodował poważniejszych zmian w brzmieniu słów; były one zresztą utrwalone.

Ale ja byłem siedem milionów lat w przyszłości. Ludzie zapomnieli o starych nagraniach korzystając z nich coraz rzadziej w miarę upływu czasu. Ich mowa uległa zmianie, aż wreszcie nadszedł taki okres, kiedy nie mogli już zrozumieć nagrań. Nie mogli także korzystać z materiałów pisanych.

Od czasu do czasu zdarzali się na pewno między nimi ludzie czujący głód wiedzy, ale nie byli w stanie nic zrobić. Stare pisma mogły być przetłumaczone, gdyby tylko odkryto podstawowe reguły. Ale nagrania... Skoro zapomniano nie tylko o prawach nauki, ale również o użyteczności mózgu.

Nie rozumiałem nic z mowy człowieka, który odpowiedział na moje wezwanie. Miał wysoki, piskliwy głos i rozmywał wszystkie słowa, nie akcentując ich. Jego mowa brzmiała prawie jak muzyka. Był podekscytowany i po chwili przywołał innych. Nie mogłem się z nimi porozumieć, lecz wiedziałem, gdzie ich szukać. Mogłem się do nich udać.

Zszedłem więc na dół z tych rajszych ogrodów i zacząłem przygotowywać się do drogi. Na niebie wstawał świt. Nie znane mi gwiazdy powoli bladły i znikwały. Tylko jedna znajoma błyszczała na niebie – Wenus. Okruch złota wówczas. Wtedy to po raz pierwszy przyjrzałem się dokładnie niebu i wreszcie rozumiałem, co od początku mi się w nim nie podobało, stwarzało wrażenie obcości. Ich niebo było zupełnie różne od naszego.

W moich czasach, podobnie jak teraz, Układ Słoneczny na swojej galaktycznej marszrucie znajduje się w pobliżu swego kosmicznego skrzyżowania. Gwiazdy, które widzimy nocą na niebie, należą do przemieszczających się gwiazdnych gromad. W rzeczywistości nasz układ przemierza właśnie centrum gromady Wielkiej Niedźwiedzicy. W promieniu pięciuset lat świetlnych od nas znajduje się sześć podobnych grup gwiazdnych.

W przeciągu tych siedmiu milionów lat Słońce zdążyło już opuścić skupisko. Na pierwszy rzut oka niebo było niemal zupełnie puste; tylko gdzieś tam widoczne były blade gwiazdki. W poprzek tego mrocznego nieboskłonu rozciągało się pasmo Drogi Mlecznej. Poza tym niebo było puste.

To, o czym śpiewali w swojej pieśni, musiało więc dotyczyć jeszcze czegoś. Chodziło im o samotność w sensie braku nawet bliskich, przyjaznych gwiazd. My do wielu gwiazd mamy nie

więcej niż sześć lat świetlnych. Oni twierdzili, że ich przyrządy, bezpośrednio wskazujące odległość do dowolnej gwiazdy, sygnalizowały, iż od najbliższej gwiazdy dzieli Ziemię dystans stu pięćdziesięciu lat świetlnych. Była to gwiazda nadzwyczaj jasna, jaśniejsza od widocznego na naszym niebie Syriusza. Fakt, iż był to niebieskobiały supergigant, czynił go dla ludzi jeszcze bardziej obcym obiektem. Nasze Słońce mogłoby być z powodzeniem satelitą tej gwiazdy.

Stałem jeszcze przez chwilę i przyglądałem się, jak różowosrebrna poświata znika w miarę nasilania się krwistoczerwonego blasku Słońca na horyzoncie. Teraz po układzie gwiazd wiedziałem już, że znajduję się w przyszłości odległej o kilka milionów lat. Taki dystans czasowy dzielił mnie od poprzedniego wschodu Słońca, jaki widziałem. Krwistoczerwony blask na wschodzie wzbudził moje obawy, czy Słońce przypadkiem nie zaczyna już dogasać.

Wkrótce krawędź olbrzymiej szkarłatnej tarczy wychynęła zza horyzontu. W miarę podnoszenia się na niebie Słońce przybierało coraz łagodniejsze odcienie i po pół godzinie przyświecał mi znowu dobrze znany, złocistożółty dysk.

Przez tyle stuleci nie zmieniło się ani trochę.

Moje obawy były bezpodstawne. Siedem milionów lat nic nie znaczyło dla Ziemi, a ileż mniej dla Słońca. Od czasu, kiedy ostatnio obserwowałem jego wschód, minęło dwa tysiące tysięcy takich wschodów. Dwa tysiące tysięcy tysięcy dni. Gdyby minęło tyleż lat, może dostrzegłbym jakąś zmianę.

Wszechświat zmienia się bardzo powoli. Tylko życie jest gwałtowne, niecierpliwe. Osiem krótkich milionów lat. Osiem dni w życiu Ziemi – a jej cywilizacja już dobiegała kresu. Pozostały po niej tylko maszyny. One także kiedyś umrą, choć nie będą nawet tego rozumiały. Tak mi się wydaje. Może... może i zapobiegłem temu. Opowiem panu. Później.

Kiedy Słońce wzeszło, rozejrzałem się jeszcze raz po niebie i po ziemi, leżącej jakies pięćdziesiąt piętér pode mną. Znajdowałem się już na samym krańcu miasta.

Maszyny poruszały się także po powierzchni ziemi; być może wyrównywały ją. Z miasta w kierunku wschodnim wiodła prosto szeroka, szara linia, połyskująca nieco w świetle wschodzącego Słońca – droga przeznaczona dla pojazdów ziemnych. Nie dostrzegłem na niej żadnego ruchu.

Ujrzałem też statek nadlatujący ze wschodu. Zbliżał się z delikatnym, jęklwym wibrowaniem powietrza, zupełnie jak dziecko popłakujące przez sen. Rósł w moich oczach niczym nadymany balon, a kiedy osiadł na wielkim polu lądowiska w dolnej części miasta, był ogromny. Po chwili rozległ się brzęk i stukot maszyn, pracujących bez wątplenia nad przetworzeniem dostarczonych właśnie towarów. Maszyny zamawiały surowce. Maszyny w innych miastach dostarczały je. Maszyny transportowe przewoziły je tutaj.

Jedynymi miastami zamieszkałymi w północnej Ameryce były San Frisco i Jacksonville. Ale statki zawijały także do innych miast, nie mogły bowiem zmienić swych programów. Nikt nie

przewidział takiej możliwości.

Nagle z miasta leżącego przede mną, z jego centralnej części, wystrzeliły wysoko w górę trzy niewielkie kule. One także, podobnie jak statek transportowy, nie posiadały żadnych widocznych mechanizmów napędowych. Punkt, który wykwitł na niebie niczym czarna gwiazda w błękitnej przestrzeni, urósł powoli do rozmiarów Księżyca. Trzy kule zetknęły się na jego wysokości, po czym zaczęły opadać, aż zniknęły mi z oczu gdzieś w centralnej części miasta.

Był to, jak się dowiedziałem, transport z Wenus. Natomiast statek, którego lądowanie obserwowałem poprzedniej nocy, przyleciał z Marsa.

Zszedłem na dolny poziom i udałem się na poszukiwania jakiegoś samolotu. Przemierzyłem prawie całe miasto, lecz nie znalazłem niczego podobnego. Przeszukałem następnie wyższe poziomy. Gdzieś tam stały tam porzucone statki, ale były one o wiele za duże jak na moje potrzeby i pozbawione przyrządów sterowniczych.

Dochodziło południe. Ponownie skorzystałem z automatów restauracyjnych i tym razem również trafiłem na świetne jedzenie.

Zdałem sobie sprawę, że było to miasto pogrzebanych prochów ludzkich nadziei. Nadziei nie jednej rasy, nie ludzi białych, żółtych czy czarnych, ale nadziei całego człowieczeństwa. Musiałem wydostać się z tego miasta. Nie miałem odwagi wyruszyć drogą wiodącą w kierunku zachodnim, przypuszczałem bowiem, że taksówka, którą jeździłem, zasilana była z jakiegoś źródła energii znajdującego się w mieście i po ujechaniu iluś tam kilometrów za miasto przestanie funkcjonować.

Było już późne popołudnie, kiedy w pobliżu zewnętrznej ściany metalowego miasta odkryłem niewielki hangar. W środku stały trzy statki. Penetrowałem właśnie niższe poziomy zamieszkałej niegdyś górnej części miasta. Mieściły się tam restauracje, sklepy i teatry. Gdy wszedłem do jednego z pomieszczeń, natychmiast rozbrzmiała ściszona muzyka, a na ekranie naprzeciwko zaczęły się pojawiać jakieś kolorowe kształty.

Tutaj także, zarówno w dźwiękach, jak i w barwnych formach można było odnaleźć triumf wysoko rozwiniętej cywilizacji – rasy, która przez pięć milionów lat uparcie szła naprzód, nie dostrzegając, że jej droga urywa się gdzieś we mgle – cywilizacji nie istniejącej już, martwej, która pozostawiła po sobie martwe, choć nadal funkcjonujące miasta. Wyszedłem szybko stamtąd. Pieśń, nie śpiewana przez trzysta tysięcy lat, urwała się za moimi plecami.

Znalazłem jednak hangar; przypuszczam, że była to własność prywatna. Trzy statki – pierwszy miał jakieś piętnaście metrów długości i pięć średnicy, prawdopodobnie jacht, szalupa kosmiczna. Drugi, o długości pięciu i średnicy półtora metra musiał być statkiem powietrznym rodziny. Trzeci był malutki, miał mniej niż trzy metry długości i z pół średnicy. Zapewne podróżowało się w nim na leżąco.

Wewnątrz znajdowało się urządzenie peryskopowe pozwalające obserwować przestrzeń

wokół statku i bezpośrednio nad nim, zaś małe okienko ukazywało widok pod statkiem. Pod mlecznym ekranem umieszczona była mapa, a specjalny aparat ukazywał na ekranie jej rzut w taki sposób, że krzyżujące się linie w każdej chwili wskazywały aktualną pozycję pojazdu.

Pół godziny zajęło mi zapoznanie się z przyrządami statku. Nie było to takie proste – od techniki konstruktorów tych urządzeń, której żywym świadectwem były wspaniałe maszyny, dzieliło mnie pięć milionów lat. Rozpoznałem aparat, który kontrolował mechanizm wyzwalań energii będący źródłem napędu statku. Znałem zasady tego procesu, toteż po pewnym czasie zorientowałem się też w układach mechanicznych. Nie było tam jednak żadnych przewodów, jedynie blade snopy energii, które tak szybko pulsowały, że zjawisko to ledwie dawało się dostrzec gołym okiem. Sześć snopów, prawdopodobnie tak samo błyszczących i pulsujących od trzystu tysięcy lat, a może nawet dłużej.

Gdy zbliżyłem się do nich, z pulpitu wykwitło nagle sześć następnych snopów energii. Dało się odczuć delikatne drżenie, a całe moje ciało przebiegło dziwne napięcie. Zrozumiałem po chwili, że maszyna spoczywa na neutralizatorach grawitacyjnych. Właśnie wtedy, kiedy pracowałem nad polami przestrzennymi powstałymi po zastosowaniu wyzwalań, miałem nadzieję je odkryć.

Oni musieli je znać już od kilku milionów lat, gdy budowali tę wspaniałą, niezniszczalną maszynę. Chyba ciężar mojego ciała uruchomił urządzenia przygotowujące statek do lotu. Wewnątrz wytworzona została sztucznie grawitacja równa grawitacji ziemskiej, a przejście z naturalnego pola ciężenia do symulowanego spowodowało powstanie napięcia, które odczułem.

Statek był gotów, wyposażony w pełny zapas paliwa. Ludzie tak konstruowali aparaty, by te natychmiast realizowały ich potrzeby i pragnienia. Każde z urządzeń było niemalże żywym stworzeniem. Specjalny układ czuwał nad gotowością statku, zaopatrzeniem w paliwo, a gdy zachodziła potrzeba, dokonywał nawet prostych napraw. Jeśli nie był w stanie tego zrobić, to jak się później dowiedziałem, samodzielnie przybywał na miejsce pojazd serwisowy, dokonywał wymiany zużytych części, te zaś dostarczał do wytwórni, gdzie inne automaty wykonywały naprawy.

Statek czekał cierpliwie na mój sygnał do startu. Sterowanie okazało się nadzwyczaj proste. Dźwignia z lewej pchnięta do przodu powodowała lot naprzód, zaś cofnięta wywoływała ruch wsteczny. Z prawej strony znajdował się poziomy, umocowany na osi pręt, który skreślony w lewo zmieniał kurs w lewo, a gdy się go skreśliło w prawo, statek zakreślał w prawo; pchnięcie go do góry powodowało zmianę wysokości lotu, a ściąganie w dół powodowało obniżanie kursu. Za pomocą jednego drążka sterowniczego można było całkowicie kontrolować lot statku.

Uniosłem go nieco w górę. Strzałka na skali umieszczonej na wprost moich oczu przesunęła się nieco i statek powoli zaczął odrywać się od podłoża. Pchnąłem drugi drążek od siebie.

Nabierając szybkości stopniowo wzniosłem statek ponad miasto. Kiedy oba drążki przesunąłem w położenie zerowe, pojazd kontynuował ruch siłą bezwładu, dopóki opór powietrza nie zatrzymał go w miejscu. Obróciłem drążkiem i strzałka na drugiej skali zaczęła się przesuwać, ukazując pozycję statku. Nie mogłem nic z niej odczytać. Mapa pod ekranem nie przemieszczała się, była chyba zepsuta. Poprowadziłem więc statek na wycucie w kierunku zachodnim.

Wewnątrz tego wspaniałego pojazdu nie odczuwało się żadnych przyspieszeń. Ziemia pod mną powoli przesuwała się i po chwili znajdowałem się już poza granicami miasta. Dopiero teraz dostrzegłem ruch mapy. Leciąłem w kierunku południowo-zachodnim. Skręciłem nieco na północ spoglądając na odkryty dopiero co kompas. Statek przyspieszył zgodnie z moim pragnieniem.

Zacząłem baczniej przyglądać się mapie i kompasowi. Nagle rozległ się dźwięk brzęczyka, maszyna zwiększyła nieco pułap i skręciła w kierunku północnym, choć nie dotykałem żadnych drążków. Przede mną rozciągały się góry. Nie dostrzegłem ich jeszcze, lecz statek „widział” już przeszkodę.

Dopiero teraz zauważyłem to, czego szukałem bezskutecznie od początku – dwie małe śrubki pozwalające przesuwać mapę pod ekranem. Lecz kiedy zacząłem nią poruszać, zabrzmiał sygnał dźwiękowy i statek rozpoczął hamowanie. Po chwili leciał już z minimalną prędkością, zmieniając jednocześnie kurs. Próbowałem nim pokierować, ale maszyna nie reagowała zupełnie na ruchy drążkami sterowniczymi.

Poruszając mapą uruchomiłem jakiś automat. Statek mógł albo lecieć po kursie wyznaczonym przez mapę, albo też mapa przesuwała się zgodnie z trajektorią pojazdu. Przesunąłem ją ponownie i statek znowu zmienił kurs dostosowując się do narzuconego programu lotu. Obok ekranu znajdował się jeszcze jeden mały przycisk, nie wiedziałem jednak, do czego on służy. Statek ponownie zaczął reagować na ruchy sterami dopiero wtedy, kiedy całkowicie zakończył swój program i zawisł jakieś pięćdziesiąt centymetrów nad powierzchnią ziemi w samym centrum rozciągających się dookoła ruin wielkiego miasta. Była to prawdopodobnie pozostałość po Sacramento.

Teraz zrozumiałem wszystko. Ustawiłem mapę tak, by linie przecinały się w San Frisco i po chwili statek uniósł się w powietrze. Nabrał wysokości ponad rozrzuconą bezładnie masą skał, powrócił na pierwotny kurs i pomknął przed siebie niczym tęponosy, samosterujący oszczep.

Kiedy doleciał do San Frisco, nie wylądował od razu. Zawisł po prostu w powietrzu i zasygnalizował koniec lotu głębokim, melodyjnym głosem dzwonu. Po chwili sygnał powtórzył się, lecz ja także czekałem, spoglądając w dół.

Tam byli ludzie – po raz pierwszy zobaczyłem ludzi tej epoki. Byli bardzo niscy, jakby skarłali i zdziczali, o nieproporcjonalnie wielkich, choć jeszcze nie olbrzymich głowach.

Szczególnie zaintrygowały mnie ich oczy. Były ogromne. Kiedy wpatrywały się we mnie,

wydawało mi się, że dostrzegam w nich niewyobrażalną potęgę, uśpioną jednak tak głęboko, iż wręcz niezdolną do wydobycia.

Posługując się ręcznymi sterami sprowadziłem statek na ziemię. Ledwie jednak wyszedłem na zewnątrz, maszyna automatycznie uniosła się i odleciała. Pojazd wyposażony był w urządzenie parkingowe. Osiadł w najbliższym publicznym hangarze, gdzie automaty mogły zapewnić mu konserwację i przygotować go do następnego lotu. W statku był niewielki nadajnik, który wychodząc powinienem był zabrać ze sobą, a który po naciśnięciu guzika wezwałby statek do mnie, w którejkolwiek części miasta bym się znajdował.

Ludzie, którzy mnie otoczyli, zaczęli mówić między sobą, co dla mnie brzmiało bardziej jak śpiew. Inni nadciągali powoli w moją stronę. Byli wśród nich mężczyźni i kobiety, także kilka osób młodych, ale nikogo w podeszłym wieku. Młodych traktowano nieomal z szacunkiem, dbając o to, by ich nie potrącić i nie przewrócić.

Mieli po temu ważne powody. Byli bardzo długowieczni, niektórzy dożywali aż trzech tysięcy lat. Umierali nagle, bez jakichkolwiek zewnętrznych oznak, nie starzejąc się nigdy. Serce po prostu zatrzymywało się, mózg przestawał pracować i tak kończyli życie. Najmłodszych, niedojrzałych traktowano z najwyższą ostrożnością. Wśród liczącej sto tysięcy ludzi populacji w przeciągu ostatniego miesiąca przyszło na świat tylko jedno dziecko. Ludzkość po prostu zaczynała być nieplodna.

Czy mówiłem już panu o ich samotności? Czuli się beznadziejnie samotni. Wciąż rozwijająca się cywilizacja doprowadziła do wytepienia wszystkich zagrażających jej form życia. Choroby, insekty. A potem wyginęły insekty, a na końcu – ostatnie drapieżne zwierzęta.

Naturalna równowaga została zburzona, więc nastąpiła długowieczność – tak jak z tymi maszynami, które raz puszczone w ruch kontynuowały swą działalność. Rozpoczęty proces wyniszczania innych form życia nie mógł być zahamowany. Najpierw wytrzebiono wszystkie rośliny będące szkodnikami i chwastami, potem inne, uprzednio niegroźne. Następnie wybito zwierzęta roślinożerne, zwierzynę pławą, antylopy, króliki, konie – które żerując na uprawianych przez maszyny polach stały się szkodnikami. Ludzie ciągle jeszcze spożywali produkty naturalne.

Rozumie pan, że taki proces musiał się wymknąć spod kontroli. Na końcu wytrzebiono mieszkańców mórz, tłumacząc się konieczną samoobroną. Po wyginięciu organizmów utrzymujących równowagę naturalną pozostałe rozpleniły się ponad miarę. Po pewnym czasie żywność syntetyczna zastąpiła produkty naturalne. W jakieś dwa i pół miliona lat od naszych czasów nawet powietrze było oczyszczone z wszelkiego życia, nie wyłączając mikroorganizmów.

Naturalną kolejną rzeczą należało oczyścić ziemskie wody. Dokonano tego, lecz kosztem całego życia w tym środowisku. Istniały przecież niewielkie zwierzęta odżywiające się mikroorganizmami, małe rybki, których pożywieniem były te właśnie zwierzątka, większe

ryby żerujące na najmniejszych rybach i wreszcie ryby-olbrzymy, których pokarm stanowiły mniejsze ryby – tymczasem początek tego łańcucha został zlikwidowany. Życie w morzach zniknęło w przeciągu jednego pokolenia. Dla nich oznaczało to około półtora tysiąca lat. Nawet roślinność morska wyginęła.

Na całej Ziemi pozostali przy życiu jedynie ludzie oraz te organizmy, które znajdowały się pod ich ochroną – rośliny ozdobne i zwierzęta domowe utrzymywane w ultrahigienicznych warunkach, tak samo długowieczne, jak ich opiekunowie. Między innymi psy, wyjątkowe zwierzęta. W czasach, kiedy człowiek wspinał się na szczyty rozwoju cywilizacji, jego nieodłączny przyjaciel, towarzyszący mu od miliona lat liczący do naszej epoki i cztery miliony w przyszłość, rozwinął swą inteligencję. W starożytnym muzeum – we wspaniałych warunkach, przy idealnych zabezpieczeniach, gdzie między innymi mogłem oglądać ciało jednego z największych przywódców ludzkości zmarłego pięć i pół miliona lat wcześniej – w tym muzeum, położonym na pustkowiu, widziałem przedstawiciela rasy psów. Jego czaszka była niemal tak duża jak moja. Ludzie konstruowali specjalne, niewielkie pojazdy dla psów i budowali drogi wyłącznie dla nich.

W jakiś milion lat później człowiek osiągnął wreszcie najwyższy etap rozwoju. Teraz już tak bardzo górował nad psami, iż te przestały być dla niego odpowiednim towarzystwem. Coraz mniej były potrzebne. Po upływie następnego miliona lat, kiedy ludzkość wkroczyła na opadającą ścieżkę, psy także wymarły.

Teraz topniejąca w oczach społeczność ludzka nie miała w swym otoczeniu żadnych form życia, którym mogłaby przekazać swoje dziedzictwo. Do tej pory ilekroć upadała jakaś cywilizacja, na jej prochach zawsze wyrastała nowa. Istniała jeszcze ludzkość, lecz nie było innych ras, nie było nawet innych organizmów, poza nielicznymi roślinami. A dystans, jaki dzielił człowieka od rośliny, był tak wielki, iż nie istniała jakakolwiek możliwość przekazu informacji. Może na samym szczycie rozwoju nie było to nierealne, ale nie teraz.

W ciągu tych milionów lat ewolucji zaludniono inne światy – wszystkie planety i wszystkie nadające się do tego księżycy były zamieszkane. Teraz ludzie żyli tylko na planetach, społeczności księżyców przestały istnieć. Mieszkańcy Plutona wyemigrowali jeszcze przed moim przybyciem. Podczas mojego pobytu trwała ucieczka ludzi z Neptuna w kierunku Słońca i ojczystej planety. Byli to ludzie dziwnie małomówni. Większość z nich po raz pierwszy widziała planetę, na której zrodziła się ich cywilizacja.

Kiedy wówczas wyszedłem ze statku i ujrzałem, jak odsuwają się ode mnie, zrozumiałem, dlaczego ludzkość musiała umrzeć. Spoglądałem na twarze tych ludzi i czytałem w nich jak w księgach. Brakowało w nich pewnej cechy, choć przecież ich umysły były o wiele potężniejsze od mojego czy pańskiego. Musiałem skorzystać z pomocy jednego z nich przy rozwiązywaniu kilku moich problemów. Przestrzeń opisywana jest przez dwadzieścia współrzędnych, z których

dziesięć to zero, sześć ma wartości stałe, a cztery pozostałe reprezentują naszą zmienną czasoprzestrzeń. Oznacza to, iż w obliczeniach musiałem posługiwać się nie podwójnymi, potrójnymi, czy nawet poczwórnymi, ale dziesięciokrotnymi całkami.

Samemu zajęłoby mi to zbyt wiele czasu. Nigdy nie skończyłbym wszystkich potrzebnych mi obliczeń. Nie mogłem skorzystać z ich maszyn matematycznych, a moja, rzecz jasna, została w przeszłości odległej o siedem milionów lat. Ale jeden z nich udzielił mi swej pomocy. Potrafił obliczać cztero – i pięciokrotne całki, nawet w różnych granicach wykładniczych – w pamięci.

Ale dopiero, gdy go poprosiłem o to. Widzi pan, właśnie ta cecha, która stanowi o wielkości człowieka, zaniknęła. Poznałem to już zaraz po lądowaniu, kiedy przyglądałem się ich twarzom i ich oczom. Patrzyli na mnie jak na obcego, niezbyt potrzebnego im przybysza, i odchodzili. Przyszli tylko po to, żeby obejrzeć lądowanie statku. Było to dla nich rzadkie wydarzenie. Po prostu witali mnie w przyjacielski sposób. Nie interesowałem ich! Człowiek utracił instynkt zainteresowania.

No, może nie całkowicie. Interesowały ich maszyny, ciekawiły gwiazdy. Ale nie robili nic. Nie stracili zainteresowania całkowicie, lecz niewiele z niego zostało, była to cecha szczątkowa. W ciągu tych sześciu miesięcy, jakie spędziłem wśród nich, nauczyłem się więcej niż oni w okresach dwóch czy nawet trzech tysięcy lat swego życia, spędzanego w otoczeniu maszyn.

Czy potrafi pan wyobrazić sobie, jak bardzo czułem się osamotniony? Ja, który kocham naukę, kiedy widzę, czy też widziałem w niej zbawienie, nieustanny rozwój ludzkości, musiałem przyglądać się tym cudownym maszynom będącym wytworem superrozwinętej cywilizacji – działającym w zapomnieniu i niezrozumieniu. Cudownym, doprowadzonym do perfekcji maszynom, stworzonym do służenia, opiekania się i dbania o tych łagodnych, dobrych ludzi, którzy... po prostu utracili pamięć.

Ludzie czuli się wśród nich zagubieni. Miasto było dla nich jedynie wspaniałymi ruinami, czymś zdumiewającym, co rozciągało się dokoła. Czymś niezrozumiałym, co leżało w naturze ich świata. Czymś, co po prostu było, nie zostało wybudowane, lecz było. Tak jak góry, jak pustynia czy woda w morzach.

Czy pan to rozumie? Czy pan pojmuję, że czas, jaki upłynął od chwili powstania tych maszyn, był dłuższy niż okres, jaki dzieli nas od narodzin człowieka? A czy my pamiętamy legendy naszych pierwszych przodków? Czy posiadamy ich wiedzę o lasach i jaskiniach? Czy znamy tajemnicę takiego oszlifowania kamienia, by jego brzegi były ostre i ząbkowane? Czy potrafilibyśmy wytropić i zabić tygrysa szablatego, nie padając jego ofiarą?

Oni znajdowali się w podobnej sytuacji, tyle że dzielił ich jeszcze większy dystans czasu. Wciąż doskonała mowa uległa gruntownym przeobrażeniom, a wszystko za nich – do czego przyzwyczaili się od pokoleń – wykonywały maszyny.

Pomimo, iż zewnętrzna planeta, Pluton, została opuszczona przez ludzi, to nadal

funkcjonowały maszyny w znajdujących się tam olbrzymich kopalniach jednego z niezbędnych cywilizacji metali. Cały system tworzył harmonijnie działający mechanizm, zespolony układ doskonałych urządzeń.

A ci ludzie wiedzieli tylko tyle, że chcąc coś otrzymać, należy przycisnąć odpowiedni guzik, co spowoduje taki a nie inny efekt. Podobnie jak ludzie w średniowieczu wiedzieli, że jeżeli zetknie się kawałek drewna z innymi kawałkami rozgrzanyymi do czerwoności, to drewno zniknie wydzielając pewną porcję ciepła. Nie rozumieli procesu utleniania drewna, podczas którego następuje wydzielanie ciepła oraz tworzenie dwutlenku węgla i wody. Tak samo ci tutaj nie rozumieli procesów, które powodowały wytwarzanie żywności, odzieży i innych niezbędnych im rzeczy.

Przebywałem wśród nich trzy dni. Potem udałem się do Jacksville. Odwiedziłem też Yawk City. To był moloch. Rozciągał się... mniej więcej od dzisiejszego Bostonu na północy do Waszyngtonu na południu. Cały ten obszar tworzył miasto Yawk City.

– Kiedy usłyszałem o tym, nie wierzyłem własnym uszom – wtrącił Jim, przerywając opowieść. Wiedziałem, że mówi szczerze. Gdyby w to wierzył, dawno kupiłby kawałek ziemi gdzieś na tym obszarze i czekał, aż jej ceny pójdą w górę. Znam go. Dla niego siedem milionów lat brzmiało nie gorzej niż siedemset i mógłby liczyć, iż jakiś jego praprawnuk zarobi na sprzedaży ziemi.

– W każdym razie – kontynuował Jim – on twierdził, że powodem tego było rozrastanie się miast. Boston rozszerzał się w kierunku południowym, Waszyngton na północ, a Yawk City oraz inne miasta w tym rejonie rozrastały się na wszystkie strony.

Całe miasto stanowiło jeden przeogromny mechanizm, sprawnie działający i utrzymywany we wzorowej czystości. System komunikacji pozwalał na podróż do North End do South End trwającą trzy minuty. Mierzyłem dokładnie. Znaleźli jakiś sposób na neutralizację efektów przyspieszeń.

Potem wybrałem się w podróż na Neptuna. Statki oczywiście nadal kursowały. Jak już mówiłem, część ludzi korzystała z nich, emigrując na Ziemię.

Statek był olbrzymi, należał chyba do typu ciężkich transportowców. Potężny metalowy cylinder, długi na kilometr i o średnicy czterystu metrów, z trudem oderwał się od Ziemi. Po wyjściu z atmosfery zaczął przyspieszać. Widziałem, jak Ziemia maleje w oczach. Podróżowałem kiedyś naszym statkiem pasażerskim na Marsa i droga ta, w roku 3048, zajęła pięć dni. Teraz, po pół godzinie lotu, Ziemia wyglądała już jak mała gwiazdka, której towarzyszyła jeszcze mniejsza, ledwie widoczna plamka Księżyca. Po godzinie mineliśmy Marsa, a w osiem godzin później lądowaliśmy na Neptunie. Główne miasto planety nosiło nazwę M'reen i było wielkości Yawk City z moich czasów, ale nie mieszkał tam ani jeden człowiek.

Planeta była ciemna i zimna – piekielnie zimna. Słońce wyglądało jak małeńki blady dysk,

wcale nie grzejący i niemal nie dający światła. Ale i tu miasto było wspaniale wyposażone. Świeże, wilgotne powietrze przepelniał zapach kwiatów. Wszystkie gigantyczne metalowe konstrukcje drżały delikatnie, przenosząc pomruk potężnych urządzeń, które stanowiły o życiu miasta.

Z nagrań, jakie udało mi się odtworzyć, dowiedziałem się – jako że język, którym posługiwali się twórcy tego miasta, a na podstawie którego uformowała się mowa umierającej ludzkości, był mi dobrze znany – iż miasto zbudowane zostało w trzy miliony siedemset trzydzieści sto pięćdziesiąt lat od daty moich urodzin. Od tamtego czasu żadnej z maszyn nie dotknęła ludzka ręka.

Atmosfera tego miasta była dla ludzi idealna. Tutaj także powietrze błyszczało różowosrebrzyście, a oprócz tej poświaty nie istniało żadne inne źródło światła.

Odwiedziłem również kilka innych miast, w których nadal mieszkali ludzie. Wówczas też, pośród tych kurczących się terenów zasiedlonych przez człowieka, po raz pierwszy usłyszałem, jak sam ją nazwałem, Pieśń Tęsknoty.

Potem poznałem jeszcze jedną, Pieśń Zagubionych Wspomnień. Proszę posłuchać.

Zaśpiewał tę drugą pieśń. Jednego byłem pewien – wtrącił Jim. W jego głosie jeszcze wyraźniej słychać było niepewność; wydawało mi się, że doskonale rozumiem jego uczucia. Trzeba wszak pamiętać, że słyszałem o tym wszystkim z drugiej ręki, od zwykłego człowieka, jakim był Jim, a on słyszał ją w wykonaniu innego niż my człowieka, który na własne oczy oglądał ten świat. Człowieka posiadającego w dodatku organowy głos. Jednak wydaje mi się, że Jim miał rację, kiedy mówił: to był niezwykle człowiek. Ktoś taki jak my nie potrafiłby zapamiętać obu tych pieśni. Były jakieś – nie takie. Kiedy on śpiewał, brzmiało w nich wiele żalonych skarg. Niemal wyczuwało się, jak człowiek przeszukuje swoje myśli w poszukiwaniu czegoś, co dawno uleciało, czegoś, co koniecznie należało sobie przypomnieć – czegoś, co na pewno powinien znać, co zapadło w niepamięć i wciąż mu się wymykało. Oddalało się coraz bardziej w czasie śpiewu. Samotny, oszalały człowiek usiłował za wszelką cenę przypomnieć sobie o czymś, co mogłoby dla niego być zbawienne.

Wreszcie zabrzmiała wyraźna nuta rezygnacji i pieśń urwała się. Jim próbował ją powtórzyć. Nie miał zbyt dobrego słuchu, lecz w tej pieśni tkwiła tak wielka siła, że nie sposób było jej zapomnieć. Zanucił krótki fragment. Jim nie odznacza się bujną wyobraźnią, gdyż inaczej, jak sędzę, zaśpiewanie tej pieśni w jego obecności mogłoby go doprowadzić do obłądzenia. Takie pieśni nie powinny być śpiewane współczesnym ludziom, nie są dla nich. Pewnie słyszeliście rozrywające serce płacze niektórych zwierząt, tak bardzo podobne do płaczu człowieka?. Na przykład nur – wydaje takie dźwięki, jak gdyby szaleńca mordowano w najokrutniejszy sposób.

To tylko drobna nieprzyjemność. Zaś ich pieśni niosły ze sobą dokładną kopię wszystkich odczuć twórcy – i choć może brzmiały nieludzko, były bardzo ludzkie. Sędzę, że była w nich

zawarta sama esencja wysiłków – i upadku ludzkości. Zawsze czujemy współczucie dla przyjaciela, który po wielu staraniach w końcu rezygnuje. Tutaj czuło się bezowocną walkę całej cywilizacji i wreszcie ostateczną rezygnację. A wiedziało się, że nie można zrezygnować całkowicie, bo nie było sposobu, aby podjąć walkę jeszcze raz.

Jim podjął opowieść.

– Na początku wszystko go interesowało. I wciąż jeszcze wszędobylskie maszyny, których nie można było zatrzymać, nie przygnębiały go. Ale ta pieśń – tego już było za wiele.

Zrozumiałem w końcu, powiedział, że nie mogę żyć wśród tych ludzi. Oni umierali, ja natomiast pochodziłem z młodzieńczego etapu rozwoju rasy. Przyglądali mi się z tą samą tęsknotą i tym samym beznadziejnym zaciekawieniem, z jakim spoglądali na gwiazdy i na maszyny. Wiedzieli, kim jestem, ale nie rozumieli tego.

Zacząłem pracować nad umożliwieniem sobie powrotu.

Zajęło mi to sześć miesięcy. Nie było to proste, bowiem nie posiadałem żadnych przyrządów, a ich wyskalowane były zupełnie inaczej. Poza tym było ich bardzo mało. Maszyny nie odczytywały wskazań przyrządów, one się nimi posługiwały wprost. Przyrządy pomiarowe stanowiły niejako zmysły wszystkich urządzeń.

Reo Lantal pomógł mi, w czym tylko potrafił. I w końcu wróciłem.

Zrobiłem jeszcze jedną rzecz przed powrotem. Możliwe, że kiedyś wrócę tam, żeby ocenić efekty, rozumie pan.

Czy mówiłem, iż posiadali oni maszyny, które potrafiły za nich myśleć? Lecz wiele lat wcześniej ktoś je unieruchomił, a nikt z nich nie wiedział, jak się je włącza.

Znalazłem odpowiednie nagrania i udało mi się je odczytać. Uruchomiłem jedną z najnowszych i najlepszych maszyn myślących i zadałem jej poważny problem do rozważenia. Ona powinna znaleźć odpowiedź. Jeśli znajdzie taka potrzeba, maszyny będą mogły pracować nad nim nawet nie tysiąc, ale i milion lat.

Uruchomiłem ostatecznie pięć maszyn i połączyłem je w szereg, tak jak nakazywała instrukcja.

Wszystkie pracują nad projektem urządzenia wyposażonego we wszystkie cechy, które utracił człowiek. Może to i brzmi komicznie, ale niech się pan dobrze zastanowi, zanim się pan zacznie śmiać. I niech pan spróbuje ujrzeć Ziemię taką, jak ja ją widziałem z terenu Neva City tuż przedtem, zanim Reo Lantal nacisnął włącznik.

Był zmierzch, Słońce właśnie zachodziło. Dokoła rozciągała się pustynia zabarwiona tajemniczymi, zmieniającymi się kolorami. Potężne, metalowe ściany dźwigały się w górę, ku dzielnicom mieszkalnym poprzecinanych spiralami i wieżami, podzielonym ogrodami pełnymi wysokich drzew i kwitnących kwiatów. Powietrze w tych rajskich ogrodach przesycone było różowosrebrzystą poświatą.

Wszystkie metalowe konstrukcje przekazywały delikatny, jednostajny, basowy pomruk i drżenie nieśmiertelnych, doprowadzonych do perfekcji maszyn, zbudowanych ponad trzy miliony lat wcześniej i od tamtej chwili nie tkniętych dłonią człowieka; działających nieprzerwanie. Miasto martwe. Ludzie tu żyli i powodowani nadzieją budowali; a potem wymarli, a pozostała po nich rasa niewysokich ludzików, którzy potrafili tylko się dziwić, przyglądać i tęsknić za zapomnianym rodzajem towarzystwa. Podziwiali olbrzymie miasta pobudowane przez ich przodków, ale wiedzieli o nich jeszcze mniej niż maszyny.

Przetrwały też pieśni, które chyba najlepiej oddawały znaczenie tragedii. Mali, pozbawieni nadziei ludzie, zagubieni pośród niezrozumiałego ogromu potężnych maszyn, które rozpoczęły swoją pracę trzy miliony lat wcześniej i nie umiały przestać. Byli martwi, choć nie potrafili umrzeć i znieruchomieć.

Włączyłem jedną z ich maszyn i zadałem jej program, który – kiedy nadejdzie odpowiedni czas – zostanie zrealizowany.

Powstanie jeszcze inna maszyna, posiadająca wszystkie te cechy, które człowiek utracił. Maszyna z ciekawością.

Wówczas uczyniłem wszystko, żeby jak najszybciej powrócić w swoje czasy. Urodziłem się u zarania pierwszych prawdziwie słonecznych dni naszej cywilizacji. Nie należałem do tego mrocznego, umierającego świata zmierzchu ludzkości.

Wróciłem. Może nieco za daleko przeszłość, ale problem przeniesienia do właściwej mi epoki nie będzie dla mnie nazbyt skomplikowany.

I to już cała jego opowieść – rzekł Jim. – Ani razu nie powiedział mi, że jest to prawda. Nic nie mówił na ten temat. Zamyśliłem się nad tym wszystkim tak głęboko, że nawet nie zauważyłem, kiedy wysiadł w Reno, gdy zatrzymałem się na stacji benzynowej.

A jednak nie był to taki sam człowiek jak my – powtórzył Jim stanowczym głosem.

Jim utrzymywał, że nie wierzy w całą tę opowieść. Ale raczej wierzył, inaczej nie powtarzałby z taką stanowczością, że jego gość nie był takim samym jak my człowiekiem.

Ja też uważam, że był inny. Wierzę, iż żył naprawdę i prawdopodobnie też umarł, gdzieś w trzydziestym pierwszym wieku. I myślę, że widział również zmierzch naszej rasy.